

Szli chłopcy po płaju połoniny brzegiem
harcerskie mundurki i czapki zielone,
chusty żółto-pomarańcz pod szyją splecione,
szli w ciszy, przygłębi plecakiem, gęsiego.

Lipcowy żar z nieba, miły cień buczyny,
trawy w pas porośłe, żmija w krzaki smyknie,
gdzieś tam pod drzewami przemknął cień zwierzyny,
cień orła na niebie, ptak w liściach zamilknie.

Szlak do źródła wiedzie; tam prędko pogonią,
świeżej wody w dłonie złożone chwycimy
z brzozowych gałązek ognisko zapłonie
żołnierską puszkę sucharem zakąsimy.

Niżej czarne kominy, chałupy spalone,
fioletowym kwiatem tojadu zdobione,
ślady Łemków zesłanych za nie swoje winy,
po ich ojcach zostały samotne mogiły.

Po zdziczałych sadach kwaśne jabłka wiszą
w podwórkach maliny i czeremchy rosną
i kępy pokrzyw napęczniałe ciszą,
a nocą wilki wyją pieśń żalosną.

Tu na noc staniemy: już obóz powstały –
rząd pięciu namiotów, posiłek, ognisko –
o losach tutejszych dzisiaj pogadamy,
złe duchy przegnamy piosnką zadzierżystą.

Dziesięciu chłopca – najmniejszy lat trzynaście –
powiedz mu że dzieciak, to skoczy do oczu,
a wódz już dorosły, skończył osiemnaście,
pozostali też twardo robią za herosów.

Marek, Kajtek, Adam, Michał, Stasiek,
Jimmy, Wiesiek, Struś co na Halicz leciał,
Krzysztof oboźny i Jan drużynowy –
rozzuciło ich dzisiaj po szerokim świecie.

Pół wieku z hakiem przeszło, życie przemijało
studia, praca, rodziny, kariery, dyplomy –
włóczęga, co nam wówczas tak zasmakowała,
wzbudziła apetyt na świat – wciąż nienasycony...